Sztuka w okresie Wielkanocnym. Wojciech Antoni Sobczyński z Londynu.

Kosciół St. Johns Waterloo w Londynie

Wielkanoc zawsze była dla mnie wyjątkowa. To czas odnowy, czas zmian i nadziei. Pochodzę z Krakowa, jednego z najwspanialszych historycznych miast Europy. W okresie wielkanocnym, kiedy tylko jestem w tym mieście, odwiedzam Kościół Mariacki na krakowskim Rynku, aby kontemplować ołtarz – arcydzieło Wita Stwosza. Jestem też przyzwyczajony do słuchania „Pasji według św. Mateusza" Jana Sebastiana Bacha w londyńskich kościołach i salach koncertowych. Obrazy związane z tradycją chrześcijańską pozostają głęboko zakodowane w mojej podświadomości. Moje skromne kompozycje na temat

Wielkanocy są przeznaczone do prywatnej kontemplacji. Mimo, że są przelotnie naszkicowane, starają się przekazać maksymalną siłę emocji. Czy widz dostrzeże tam Boga, pozostawiam do jego decyzji. Nie zamierzałem pokazywać tych prac, dopóki renomowany znawca dzieł sztuki, Julian Hartnoll, nie zauważył ich w mojej pracowni i udostępnił w swojej Duke Street Gallery na wystawę wielkanocną. Prowadził Galerię przez dziesięć kolejnych lat, aż do zamknięcia firmy. Teraz, w świeżo odnowionym i olśniewającym kosciele St John's Waterloo, mam zaszczyt i przyjemność te wielkanocne prace ożywić, przy wsparciu Cannona Gilesa Goodarda i dyrektora artystycznego SJW, Euchara Graviny.

Wojciech Antoni Sobczyński

W pątek 31 marca 2023 roku w Kościele St John's Waterloo w Londynie zostanie otwarta wystawa rzeźb wielkanocnych Wojciecha Antoniego Sobczyńskiego. Otwarciu wystawy będzie towarzyszył koncert chóralny. Wystawa potrwa do 14 kwietnia 2023 r. Więcej informacji na stronie:

> Art at Easter time

*

G A L E R I A

*

Wojciech Antoni Sobczyński w swojej pracowni w Londynie

Transfiguration (Transfiguracja), 67 cm

*

Golgotha, 61cm

Christ ascending into heaven aided by angels (Chrystus wstępujący do nieba w asyście aniołów), 54 cm

Christ in heaven – mixed technique (Chrystus w niebie, technika mieszana), 83 cm

Blind Face of violance – dedicated to suffering Ukraine (Ślepe oblicze przemocy – poświęcone cierpiącej Ukrainie) 125x80x60 cm

*

Wystawa w kościele St. Johns Waterloo w Londynie

Wystawa w kościele St. Johns Waterloo w Londynie

Resurection (Zmartwychwstanie) 39xw31x10 cm

*

Zobacz też:

> Wojciech Antoni Sobczyński – dialog z kompozycyjnymi przemyśleniami

Polska myśl artystyczna poza krajem

Mały słownik staropolskich obyczajów wielkanocnych

Stół wielkanocny we dworze, fot. archiwum Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.

Stefan Król *(Kanada)*

> …Minęły wieki, a tak jak niegdyś znicz od pogan strzeżony, tak jak pogańskie pamiątki od ludu przechowywane – pielęgnujemy dawne przodków obrzędy: to co weszło w zwyczaj, niech zwyczajem zostanie, a to, co było, cośmy od Ojców zasłyszeli, lub sami jeszcze widzieli, przekażmy tym, co po nas przyjdą; pomni, że gdzie była przeszłość, tam i przyszłość będzie…
>
> (Leon Potocki, „Świecone, czyli pałac Potockich w

> Warszawie”, 1854 r.)

Baba wielkanocna

Bab zawsze było w Polsce co niemiara. Chodzi oczywiście o rdzennie polski specjał wielkanocny i chlubę staropolskiej kuchni (wypiekano je już w XVII w.). Były więc baby „puchowe”, ”polskie”, „ukraińskie”, „podolskie”, „krakowskie”, „warszawskie”. Były baby „migdałowe”, „muślinowe” – dla równości dziurek w cieście tak nazwane, „razowe”, „pospolite”. Wszystkie, łącznie z tą ostatnią, wymagały wiele zachodu – bez przedświątecznego nastroju trudnego do urzeczywistnienia.

> Hałas, rejwach, rwetes, wrzawa,
>
> łoskot, łomot jak w młockarni,
>
> w izbie parno, świst, kurzawa,
>
> Drzwi wciąż skrzypią do spiżarni.
>
> Znoszą masła, jaja, sery,

> Mąki, cukry i korzenie…

To dziewiętnastowieczny rymowany opis przygotowywania do pieczenia baby wielkanocnej. Rwetes przygotowania rozpoczynał się zwykle w poniedziałek lub wtorek Wielkiego Tygodnia. Po zebraniu i przygotowaniu składników (moczono szafran w wódce, mielono migdały, tłoczono w moździerzach wanilię…) rozpoczynało się wyrabianie ciasta. I to był początek prawdziwego misterium. Zamykano drzwi, uszczelniano okna, aby nawet najlżejszy przeciąg nie oziębił ciasta, inaczej źle by rosło. Wyrobione ciasto nakładano do form, przykrywano białymi, lnianymi, ogrzewanymi ściereczkami, żeby się „nie przeziębiło". Od tego mometu kończyły się „hałas, rejwach, rwetes, wrzawa", kończyła się bieganina, a nawet głośne rozmowy. Mówiono szeptem, poruszano się na palcach. Wkładanie i wyjmowanie z pieca odbywało się w grobowym milczeniu, żeby najmniejszy hałas nie zaszkodził delikatnemu, wypieszczonemu ciastu. Potem następowało chłodzenie baby. Ale o tym niech nam opowie Jarosław Iwaszkiewicz, który obserwował ten rytuał w dzieciństwie:

> Gdy wreszcie baby upiekły się – a siedziały w piecu ze dwie godziny, przy czym cały czas trzeba było chodzić na palcach i mówić szeptem – następował dramatyczny moment wyjmowania z pieca. Wtedy trzeba było wytężyć całą uwagę

> po to, aby się jeszcze gorące ciasto nie wykrzywiło (…). W tym celu wprost z form baby przekładano na poduszki i dziewczęta kuchenne kołysały je na paluszkach, jak usypiające dzieci, dopóki ciasto nie ostygło. Niezapomniany był to widok, kiedy grono kobiet z poważnymi minami kołysało owe baby w obrzędowy sposób, jak gdyby od tego zależały losy świata.

Przy tak hołubionym wypieku zdarzały się, rzecz prosta, „klęski urodzaju”: *niejedna w piecu czasem tak urośnie, że się lukta potem prowadzi czy babę rozkroić, czy piec rozwalić, aby babę z niego wydobyć* – pisze w 1854 r. Leon Potocki. Tenże Potocki pisze jeszcze:

> Na Ukrainie dotąd jest zwyczaj iż w folwarku, kędy pieką baby, przewożą je potem na taczkach do dworu. Nasze kilogramowe mizeroty nawet równać się nie mogą z taczkowymi kolumbrynami. Nie mamy pieców chlebowych, nie mamy stu jajek, dziewki kuchenne musi zastępować mikser, w dzisiejszym z radiofonizzowanym świecie z ciszą też mamy kłopoty – a jednak żal by było, gdyby baby zeszły z tego świata do krainy cieni bezpotomnie. Niechby zostały chociaż babki.

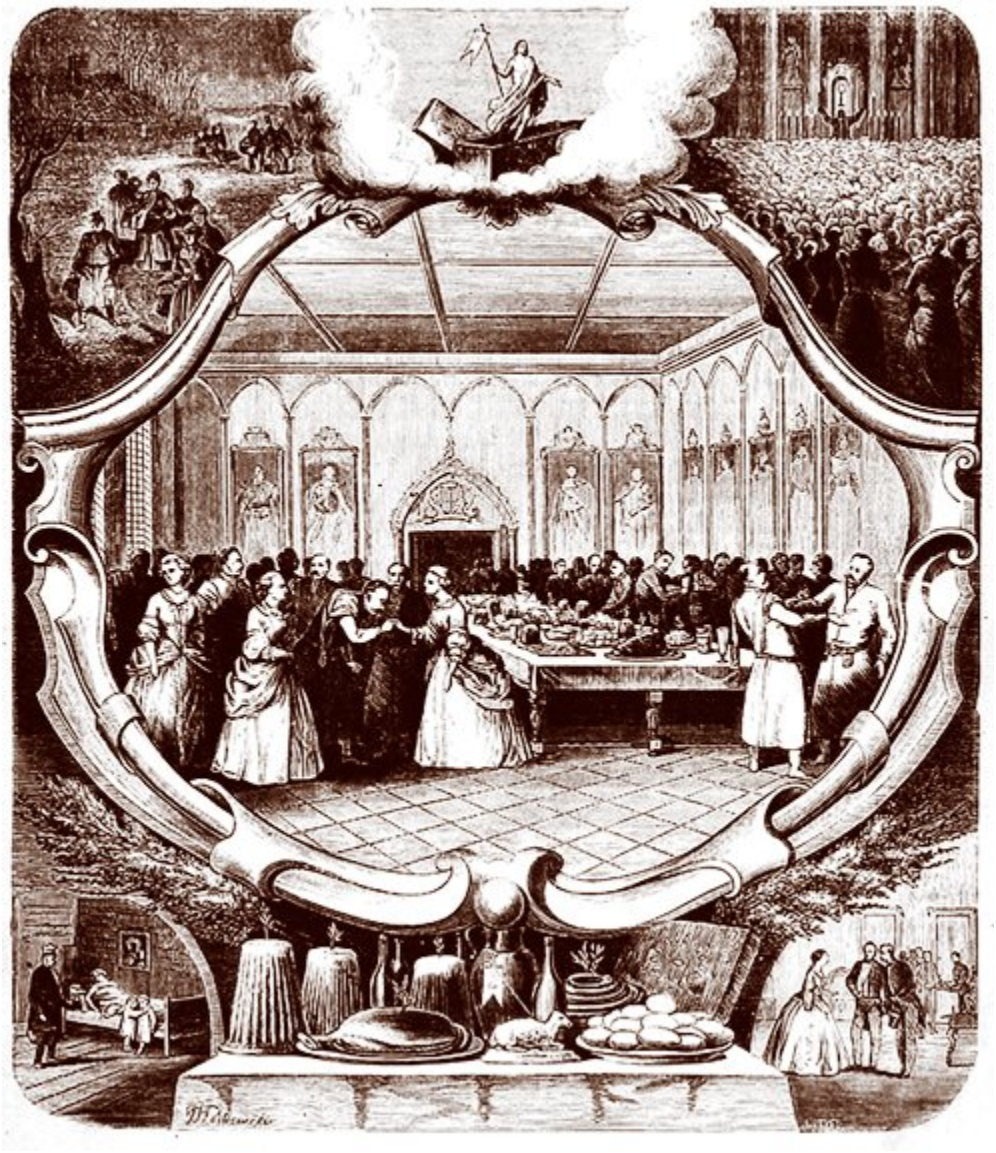

Staropolskie święcone w zamożnym dworze, drzeworyt, skomponował i rysował Polkowski, rytował Styli w Warszawie, Tygodnik Ilustrowany.

Groby Pańskie

> Noc na dworze – a w kościółku
>
> Uroczyste światła płoną;

> Grób Chrystusa oświetlono
>
> Od podłogi do wierzchołka.
>
> Malarz wiejski prosty, tani,
>
> Wymalowal skały groty.
>
> Wymalował szczyt Golgoty
>
> I trzy krzyże widne na niej.
>
> (Władysław Syrokomla)

W ubogim wiejskim kościółku malarz „prosty, tani” dokonywał wystroju Grobu Pańskiego. W większych miastach, gdzie kościołów było kilka lub nawet kilkanaście Groby były bardziej okazałe, czasami grzeszyły wręcz przepychem. Rywalizacja pomiędzy parafiami, a także pomiędzy zgromadzeniami zakonnymi w urządzaniu Grobów Pańskich sprawiała, że bogactwem wystawy i pomysłów polskie Groby Pańskie wprawiały często w zdumienie cudzoziemców. Za panowania Augusta III – jak opisuje Jędrzej Kitowicz w swoich *Obyczajach staropolskich*

> Groby robione były w formę rozmaitą stosowaną do jakiej historii z Pisma Świętego (…) reprezentowały Abrahama patriarchę, syna swego Izaaka na ofiarę zabić chcącego (…) Albo Daniela Proroka w jamie między lwami zostającego (…) Albo Jonasza, którego wieloryb połyka paszczą swoją (…) Górę kalwaryjską z zawieszonym na Krzyżu Chrystusem, z żołnierzami, którzy go krzyżowali i z tłumem żydostwa, którzy się temu krzyżowaniu przypatrowali.

Polski „duch narodowy" zwykł był sprowadzać historie biblijne pod polskie niebo i przykrawać na rodzimą miarę. Rychło więc zaczęły się pojawiać elementy narodowe w ubieraniu Grobów Pańskich. W XVII w. w jednym z kościołów warszawskich ułożono Grób z samych szyszaków, tarcz, szabel i innych militariów. W okresach niewoli sarmacki przepych znikał, a Groby przekształcały się w symbole. W 1942 r. na przykład w kościele św. Anny w Warszawie Grobem Pańskim były zwęglone belki, pasma kolczastego drutu, surowy czarny krzyż i zmizerowany jakby wykradziony z obozu koncentracyjnego trup Zbawiciela. Tradycja Grobów-symboli odrodziła się znowu w okresie stanu wojennego.

Przy Grobach straż pełniły specjalne warty. Kitowicz opowiada iż tradycją było, że *w kościele kolegiackim straż pełnili drabanci królowej, a uśw. Trójcy artyleria koronna przy broni.* W moim

rodzinnym kościele parafialnym straż pełnili strażacy.

Wielkanoc na Mazowszu, fot. Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.

Pisanki

Zdaje się, że stary problem: co było pierwsze jajko czy kura należy rozstrzygnąć na korzyść jajka. W każdym razie Rzymianie zaczynali wszystko *ab ovo* czyli od jajek. Według podań ukraińskich pierwsze jajko zniósł kogut (a więc nie kura), gdy świat był jeszcze pusty. Z tego jajka wypłynęło siedem rzek, które nawodniły doliny i wszystko się zazieleniło. Można było

śpiewać „Na zielonej Ukrainie…”.

Początki zwyczaju malowania jajek giną w tzw. „pomroce dziejów”. Do Polski pisanki przybyły prawdopodobnie razem z chrześcijaństwem. W każdym razie Wincenty Kadłubek w swojej *Kronice* z początku trzynastego wieku pisze:

> Polacy z dawien dawna byli zawistni i niestali, bawili się z panami swemi jak z malowanymi jajkami.

Nie wdając się w dyskusję ze znakomitym autorem zauważmy, że niestali Polacy przynajmniej w jednym byli stali: w malowaniu pisanek. Zwyczaj przetrwał w żywotnym stanie do naszych czasów, a w zabawie, którą użył mistrz Wincenty do charakterystyki rodaków miałem szczęście, jako mały chłopiec, uczestniczyć (w Janowie Lubelskim). Nazywała się wtedy „grą w bitki”. Na specjalnie urzadzonej na ten czas pochylni zderzało się jajka; pęknięte jajko było wygraną właściciela mocniejszego jajka.

Pisanki były ulubionym podarunkiem wielkanocnym. Całe ich stosy ofiarowywano w dowód przyjaźni najbliższym i przyjaciołom. Podarowanie pięknie zdobionego jajka było wyrazem dobrych życzeń i serdecznych uczuć. I choć pewnie nikt dzisiaj nie maluje stosów pisanek, to przecież twórczośc

pisankowa jest ciągle żywa. Zdarza się, że zdobienie pisanek łączy dziadków z wnukami. Z korzyścią dla obu generacji: dziadkowie mają odmładzającą zabawę, dzieci biorą udział w dorosłym rękodziele.

Wielkanoc, fot, Muzeum Wsi Lubelskiej.

Poświęcenie ognia i wody

W Wielką Sobotę ognia i wody naświęcić, bydlo tym skropić i wszystkie kąty w domu to też rzecz pilna – zalecał Mikołaj Rej. Poświęcenie ognia zawsze odbywało się na zewnątrz kościoła na

placu przy kościelnym. Etnograf Franciszek Gawełek (1884-1919) tak opisuje ten obrzęd:

> Do dużego stosu najrozmaitszego rodzaju drzewa, jak starych krzyży, gałęzi tarniny itp., zgromadzają się wierni w skupieniu oczekując przybycia księdza. Młodzież staje najbliżej ogniska. Ogień rozniecono, ceremonia dokonana. Zaledwie ksiądz zdołał się oddalić, a już ta sama gromada, która przez chwilę była w takim skupieniu, rzuca się na ognisko, nie czekając aż ono się wypali, aby zdobyć choć jeden ogarek, choć jedną gałązkę poświęconą, którą z radością zaniesie do domu, jako ochronę przed burzami i gradami.

W latach wczesnej młodości sam bywałem w tłumie cisnących się ludzi by zdobyć – koniecznie nadpaloną – gałązkę tarniny. Do dziś noszę w uszach wielkosobotni śpiew skowronków, który towarzyszył mi w drodze do kościoła. Pamiętam także jak przygotowane przez Ojca ziarno siewne Mama zawsze kropiła przyniesioną przez mnie wodą święconą.

Po poświęceniu ognia i wody, gdy ksiądz zaśpiewał *Gloria* rozdzwaniały się wszystkie dzwony – w Wielki Piątek zastępowane kołatkami. Z sobotnim *Gloria* i dzwonami wiąże się interesująca legenda o Lucyperze władcy ciemności. Pan Jezus

po śmierci wstąpił do piekła. Tam rozkazał archaniołowi Gabrielowi przykuć Lucypera łańcuchem do kamiennego słupa. Łańcuch zawierał tyle ogniw ile jest dni w roku. Lucyper codziennie przegryzał jedno ogniwo; na ostatni dzień przed zmartwychwstaniem pozostawało do przegryzienia ostatnie, lecz dźwięk dzwonów wielkanocnych zwiększa ogień piekielny, ogniwa ponownie się spajają i Lucyper zostaje uwięziony na kolejny rok. Lucyper uwolni się na sądny dzień przy końcu świata. Nie stanie się to jednak dopóty, dopóki w Wielką Sobotę bedą biły dzwony kościelne.

Wielkanoc na Mazowszu, fot. Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.

Wielkanoc na Mazowszu, fot. Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.

Rezurekcja

Zygmunt Gloger w *Ecyklopedii Staropolskiej* pisze:

> Rezurekcja to obrzęd radosny, w krajach słowiańskich powszechny (…). Polega on na wyniesieniu Najświętszego Sakramentu z tzw. grobu i trzykrotnej uroczystej procesji wokoło kościoła wśród pieśni wielkanocnych. Obchód powstał z misteriów średniowiecznych, a na jego rozszerzenie wpłynęli bożogrobcy.

Gdy biły dzwony na rezurekcję, wszyscy spieszyli do kościoła. Wierzono, że kto nie pójdzie wtedy do kościoła cały rok będzie chorował. Ponadto, kto przespał rezurekcję nie miał prawa jeść święconego. Rezurekcja była bardzo niebezpieczna dla czarownic. W folklorze żywieckim istnieje bowiem podanie, że jeśli w procesji bierze udział czarownica, to musi się coś takiego wydarzyć, co nie pozwoli jej trzykrotnie obejść kościola – rzemyk od kierpca odpadnie, spódnica się oberwie… Będzie więc rozpoznana. W czasie rezurekcji kościoły zalegały tłumy – trzeba koniecznie powiedzieć: uroczyste tłumy, różniące się od zwykłych tłumów jakąś trudną do opisania radosną powagą. W czasie procesji triumfalnie brzmiała i brzmi dzisiaj zwycięska pieśń zmartwychwstania: *Wesoły nam dziś dzień nastał*. Jedna z najpiękniejszych pieśni z repertuaru polskich pieśni religijnych wieści ludziom radość zmartwychwstania przynajmniej od pięciu wieków. Brzask chłodnego poranka, dźwięk dzwonów, zapach kadzideł, wędrująca pod baldachimem razem z tłumem monstrancja tworzą, nastrój który ściska za gardło. Wprost czuje się w powietrzu, że wydarzyło się coś radośnie niezwykłego: wesoły nam dziś dzień nastał.

Dawniej rezurekcyjnym dzwonom wtórowaly armaty, moździerze, strzelby, pistolety. Było to niegdyś całkiem głośne nabożeństwo.

Po Primarii – pierwszej mszy po Zmartwychwstaniu Pana – w

drodze do domów odbywał się wyścig furmanek. Wyposzczeni ludzie śpieszyli na Wielkie Sniadanie.

Wielkanoc na Mazowszu, fot. Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.

Śmigus-dyngus

Po spędzonej w gronie rodzinnym, przeważnie na jedzeniu, niedzieli wielkanocnej następował poniedziałek wielkanocny – dzień harców i swawoli, czyli wzajemnego oblewania się wodą. Dzisiejsza nazwa tego obyczaju „smigus-dyngus” wzięła się z połączenia dwóch wiekanocnych obrządków. Tak jak w czasie

świąt Bożego Narodzenia „po kolędzie” przymawiając się o podarek czyli kolędę, tak w czasie świąt Wielkiej Nocy chodzono „po dyngusie” przymawiając się o dyng np. przyśpiewką:

> Przyszedlem tu po dyngusie.
>
> Leży placek na obrusie.
>
> Tata kraje, mama daje,
>
> Prosze o malowane jaje.

Poranne dyngowanie czy dyngusowanie kończyło się śmigusem: oblewaniem wodą. Zwyczaj ma pewnie początek w czasach prasłowiańskich, kiedy głęboko wierzono w oczyszczającą moc wody. A kościół wprowadzając poświęcenie wody właściwie tę wiarę usankcjonował, choć z początku był staremu obyczajowi. Najstarsze świadectwo o śmigusie-dyngusie w Polsce pochodzi z czasów Władysława Jagiełły. Jest nim uchwala synodu diecezji poznańskiej z roku 1420 pt *Dingus prohibetur* potępiająca ten zwyczaj. W uchwale czytamy:

> Zabraniajcie, aby w drugie i trzecie święto wielkanocne mężczyźni kobiet, a kobiety mężczyzn nie ważyli sie napastować o jaja i inne podarunki, co pospolicie nazywa się dyngować, ani do wody ciągnąć, bo swawole i dręczenie takie nie odbywają się bez grzechu śmiertelnego i obrazy imienia Boskiego.

Zakaz przez długie wieki okazał sie nieskuteczny. Dopiero w naszych czasach zwyczaj jest w zaniku. Niestety słabnie również wiara katolicka.

Wielkanoc we dworze na obrazie Bronisławy Rychter-Janowskiej

Święcone

Nasze święcone to „mały pikuś” – by użyć współczesnego slangu – w porównaniu ze święconym naszych przodków. Oto opis święconego u mieszczanina i rajcy krakowskiego Mikołaja Chroberskiego przekazany przez dworzanina hetmana Jana Tarnowskiego (188-1561) Mikołaja Pszonkę w liście do żony Salomei:

> A czas już wielki, abym Waszeci opisał – tak tytułuje mąż żonę – com widział i pożywał na święcone u Imci pana Mikołaja Chroberskiego rajcy, mieszczanina utściwego (…). Stół okrągły na środku, wieki, dębowy, żeby stu ludzi koło niego wygodnie siadło i jadło. Obrus na nim jeden wielki, ale w krzyż zaszywany. Na sześciu misach srebrnych, roboty wspaniałej, były mięsiwa wieprzowe z zad. Na drugich sześciu było dwoje prosiąt okrąglutkich, kiełbasy najmniej po cztery łokcie długie, a dziwnie pachnące i koloru krokoszowego, ciemnego ustrojone rzędami jaj święconych i pisanek pomalowanych w przeróżnej barwie, ale najwięcej na rakowe. Mięsiwo miało cudną powłokę z tłuszczu w różową barwę wpadającą. Pomiędzy tymi misami stały figury z ciasta przedniego, wyobrażające dziwnie zabawne historyjki. Poncyusz Piłat wyjmował kiełbasę z kieszeni Mahometa, a wiadomo, że Żydzi i Turcy nie jedzą

> wieprzowiny, więc to na nich epigramma były pocieszne. Na samym środku stołu stał dziwnie piękny baranek z masła wielkości naturalnej owieczki (…)

Przerwę w tym miejscu sprawozdanie pana Pszonki; miał ci on żonę wymagającą i ciekawą, a stół był olbrzymi, więc opis zajmuje kilka stron. Trudno nawet w opisie wytrzymać taką obfitość jadła. A przecież wyważony społecznie opis powinien zawierac jeszcze opisy wielkanocnych stołów magnackich, szlacheckich i chłopskich; żadne z nich skromnością nie grzeszyły. Z kłopotu wybawi nas staropolska „teologia stołu". Według niej śniadanie powinno być jak kazanie (krotkie i treściwe), obiad jak msza i kolacja jak nieszpory. A ponieważ każdy wspólny posiłek – i w dworku szlacheckim i chłopskiej chacie – zaczynał sie i kończył modlitwą, niech więc dalszy opis staropolskiego świątecznego stołu będzie w formie modlitwy:

> Któryś raczył zgromadzić nas do tego stołu,
>
> błogosław, co z korzeniem i co do rosołu.
>
> Któryś stworzył z niczego niedostępne nieba,

raczże nam dziś przeżegnać i tę kromkę chleba

Święty Pietrze otwarłszy niedobyte sklepy,

błogosław nam pieczenią i to mięso z rzepy.

Miła święta Heleno, z miłą świętą Anną,

przeżegnaj nam te kiszki pospołu z brytfanną.

Miły święty Adamie ze swą małżonką Ewą,

przeżegnaj to, co z cukrem, i to, co z podlewą.

Wszystkie nasze potrawy, ba, i to, co z chrzanem,

błogosław nam nasz Panie;

mówmy wszyscy: Amen.

(Olbracht Karmonowski *„Pacierz do stołu”,* pocz. XVII w.)

Pytanie

Kto odniósł większe korzyści „dla duszy i ciała”, czy nasi

przodkowie pracowicie przygotowujac święta, wypełniając to, co nakazywały obyczaje, czy my, udając się w okresie świątecznym na Kubę, aby wygrzewać się na „kosmopolitycznych” plażach pod „kosmopolitycznym” słońcem? Dla ułatwienia odpowiedzi jedna wskazówka i jedno ostrzeżenie. Wskazówka: na podstawie doświadczeń żony wiem, że babki (no, nie takie, że trzeba je taczkami wozić) doskonale udają się na kanadyjskiej mące *Weston*. Ostrzeżenie: zaniedbując zwyczaje zaprzestajemy świętowania, tracimy konieczny dla pełni ludzkiego życia podział czasu na czas sakralny i czas powszedni, spuszczamy Lucypera z łańcucha i sami uwiązujemy się na łańcuchu nudów czasu wolnego.

„Słownik” opracowano na podstawie książek Hanny Szymanderskiej – pierwszej damy polskiej kuchni.

Wielkanoc. Korzenie tradycji.

Włodzimierz Wójcik

Minęła Niedziela Palmowa. Przed nami Święta Wielkanocne, będące najpierw znakiem bezgranicznego cierpienia, a potem symbolem Zmartwychwstania, odradzania się, tryumfu życia nad śmiercią. Okoliczności sprzyjają więc refleksji i wspomnieniom.

Ten klimat przedświąteczny łączy w zasadzie wszystkich – zarówno głęboko wierzących, jak też i tych, którzy są mniej aktywni w odbywaniu praktyk religijnych. Tradycja – wspaniałe spoiwo łączące naród – odgrywa i w tej dziedzinie istotną rolę.

Wielkanoc znaczona jest wiosenną aktywnością przyrody; pojawiają się złociste mlecze, na łąkach pękate główki żółtych kaczeńców; na miedzach, w parkach i w lasach pęcznieją wierzbowe kotki, które – wraz z gałązkami – są przecież swoistym ekwiwalentem południowych palm. To wiosenne święto kojarzy się także z nieprzebraną gamą zapachów płynących z gospodarstw domowych. W okresie Wielkiego Postu mięs nie jadano, ale pracowicie i niezwykle precyzyjnie przygotowywano na same święta wyroby wędliniarskie. W sadach przydomowych godzinami dymiły wędzarnie, w których palono drewnem drzew owocowych, aby kiełbasy czy szynki cudownie i apetycznie pachniały i miały złocisto-brązowy kolor. Tej zasady pilnowano jak oka w głowie. Pracowały – usytuowane przeważnie w sieniach – chlebowe piece, którymi zarządzały zwykle babcie – fenomenalne znawczynie procesu najpierw tak zwanego „zarabiania", a potem wypiekania. Zapachy idące z pieca chlebowego, unoszące się nad podwórkami, nawet nad łąkami, nie mogą być zapomniane. Nie sposób pomyśleć o Wielkanocy bez tradycyjnych bab różnego kształtu, koloru, smaku. Baby wielkanocne – to prawdziwy rarytas. I słynne mazurki. Wielokolorowe, formowane w pomysłowe wzory pisanki; ze łzami

tarte laski chrzanu z domowego ogrodu, dziesiątki innych łakoci, bez których nie można było się wybrać z koszyczkiem wiklinowym do kościoła… O tych wszystkich doznaniach dzieciństwa i młodości – obrazach, zapachach, smakach – myślę dzisiaj, w świecie już nieco zurbanizowanym i zunifikowanym, poddanym – co jest zrozumiałe – naturalnym przeobrażeniom. Myślę też o tych minionych już latach, kiedy to dawno, w klimacie przedświątecznych krzątanin, wraz z ojcem odwiedzałem rodzinę i przyjaciół wędrując – na zasadzie „wpadnięcia na chwilę" po jakiś drobiazg – po Łagiszy, Będzinie, Dąbrowie Górniczej, Sosnowcu, Grodźcu, czy Czeladzi. Dziś ten obszar nazywam za Broniewskim „najbliższą Ojczyzną". W czasie tych krótkich wizyt prowadziło się familijne negocjacje. Trzeba było przecież wyraźnie ustalić, u kogo gościmy się w pierwszy dzień świąt, u kogo zaś w dzień drugi, przebiegający zwykle pod znakiem śmigusu… W Wielką Niedzielę spędzało się zazwyczaj czas z rodziną najbliższą. To była pewna zasada. W gronie rodziców, dziadków, cioć i wujów zasiadało się do stołów, które kusiły wieloma barwami, smakami i zapachami. Tradycyjne jajka były najważniejsze, gdyż one właśnie stanowiły naturalną przyczynę składania sobie życzeń. Dzielenie się święconym jajkiem, barwinek na lnianym obrusie, pierwsze kwiaty wiosny w przezroczystych wysokich wazonikach, lukrowane baranki – to wszystko wraca we wspomnieniu jak żywe…

W lany poniedziałek rygory już nie istniały. Dorośli zwykle mieli

swoje sprawy, dzieciaki raczej hasały do woli, cieszyły się wiosną, swobodą i czekały na taką pogodę, aby jak najszybciej móc biegać po łące „na bosaka”. Przypominam sobie śmigusówki – wąskie i wysokie butelki z pachnącą wodą kolońską… Byle czym w zasadzie nikogo nie kropiono.

Wiadra z wodą ze studni czy strumienia wchodziły oczywiście w grę. Chłopcy polewali zaprzyjaźnione dziewczęta, swoje rówieśnice, w klimacie radości i przyjaźni. Nie do pomyślenia było jednak atakowanie wodą przygodnych przechodniów ubranych wizytowo. Nie pisane nigdzie normy postępowania ściśle obowiązywały. Może do tych zasad warto byłoby wrócić. Radosny żywioł z pewną elegancją zachowania się można przecież całkiem łatwo pogodzić…

Każdy z nas, kto we wspomnieniach dzieciństwa i młodości odnajduje – w momencie refleksji i skupienia – tego rodzaju obrazy, a więc jest wyposażony w swego rodzaju zasób tradycji, może się uważać za człowieka bogatego. Wówczas dobrze wie, skąd pochodzi, z jakich korzeni wyrasta. To, co w tej tradycji wspólne dla wszystkich Polaków – łączy nas ze sobą. Zaś to, co jest różne, a więc charakterystyczne dla jakiegoś regionu wyłącznie, wzbogaca wszystkich, czyni życie barwniejszym i ciekawszym. Z posagiem tradycji łatwiej jest iść ku przyszłym dniom i latom. Łatwiej też znosić przeciwności losu… A przecież takie przeciwności są także naturalnym składnikiem kondycji

ludzkiej… Nic na to się nie poradzi. Warto jedynie przeczytać cztery wersy utworu Jana Twardowskiego O wielkanocnym poranku:

> Poranek wielkanocny wszystko poprzemieniał,
>
> nie ma więcej cmentarza, grobu i kamienia.
>
> Świat stał się samym światłem i wprost w okna świeci,
>
> skacze złotym zajączkiem w dobre ręce dzieci. […]

Wielkanoc w mirogonowskim dworze

Zofia Reklewska-Braun *(Buffalo, USA)*

Dwór

A jaki był dwór w Mirogonowicach? Stał w bok od drogi: Ostrowiec — Waśniów — Słupia, którą jechały i zapewne nadal jadą, wszystkie wycieczki na Święty Krzyż z kierunku Ostrowca. Skręcało się z tej drogi na południe, w miejscowości Sarnia Zwola i dalej jechało kiepską, pełną kolein, wybojów i – po deszczu – błota, drogą polną, około jednego kilometra do czworaków, stawów i pierwszych zabudowań dworskich. Po prawej dominowały nad polami Góry Jeleniowskie, z Górą Witosławską niemal w prostej linii królującą od południa nad Mirogonowicami i Wronowem. Teren był pofalowany, malowniczy, urodzajny, z dobrą sandomierską rędziną i glinką lessową, o których uczyłam się potem w szkole na geografii, jako o najżyźniejszych rodzajach gleby w Polsce.

Dwór w Mirogonowicach, lata trzydzieste XX w., fot. arch. Zofii Reklewskiej-Braun.

Ukryty w dużej kępie drzew i zieleni, na niewielkim wzniesieniu ponad dwoma stawami, rozdzielonymi szeroką groblą, po której przemykała wąska droga dojazdowa – „stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany, świeciły się z daleka pobielane ściany…”.

Adres pocztowy pamiętam z kopert, które lubiłam sylabizować ucząc się – bardzo wcześnie – czytać: „Dwór Mirogonowice, gmina Momina, powiat Opatów”. Dom na zewnątrz był skromny,

właściwie parterowy z przybudówkami, które znaczyły kolejne przebudowy i remonty. Nad wejściem frontowym, z dużą sienią, do której wiodły wysokie, kamienne schody, wznosiła się niewielka facjatka, będąca chyba pokoikiem gościnnym, a może składzikiem? Wnętrza dworu były piękne, zabytkowe, bogate w dzieła sztuki i rzadkiej jakości zdobienia.

Moja pamięć zamazała już bardzo szczegóły i kształty, choć mogę jeszcze przywołać nastrój niektórych pomieszczeń. W pomoc przyszła mi dość nieoczekiwanie praca magisterska Małgorzaty Pronobis, studentki KUL-u, która, pod kierownictwem profesora Tadeusza Chrzanowskiego, napisała w 1993 roku pracę badawczą o historii domu mego dzieciństwa. Jak się okazuje należał on do najwyższej klasy zabytków sztuki polskiej.

Sama nazwa miejscowości Mirogonowice notowana jest w archiwach już w XV wieku. Wspomina ją Jan Długosz w swych *Dziejach Polski*, a że nigdy tam nie było wsi, jedynie posiadłość ziemska, można sądzić, że prehistoria dworu mirogonowskiego sięga właśnie tego okresu.

Dom, który mogę nazwać moim domem rodzinnym, był stary, zapewne z pierwszej połowy XVIII wieku, drewniany, z bali modrzewiowych, ale podpiwniczony i to właśnie podpiwniczenie świadczy o istnieniu dawniejszej budowli, która musiała stać na

tym samym miejscu. Obok domu był murowany lamus, nazywany także czasem zborem ariańskim, który historycy szacują na XVI wiek. Dwór przeszedł kilkakrotne przebudowy. Bale modrzewiowe pokryto tynkiem, a na tynk we wnętrzach naciągnięto duże panele płótna malarskiego, na których wykonane zostały polichromie o wysokiej jakości artystycznej, najpewniej w początku XIX wieku.

Także i moja Mama, przybywszy do Mirogonowic jako „Pani domu", zaraz na początku swego małżeństwa, dokonała generalnego remontu i przebudowy niektórych części, w tym całego prawego skrzydła dworu, w którym mieściły się nasze sypialnie. Mama opowiadała żartobliwie, że kazała podówczas wyrzucić kilka furmanek śmieci ze dworu i zaprowadziła nowe porządki, co nie koniecznie podobało się Ojcu.

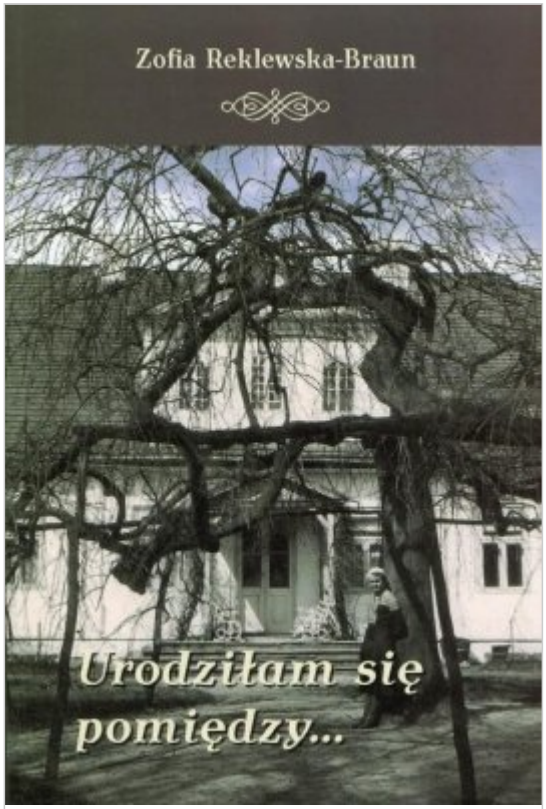

Okładka ksiażki wspomnieniowej Zofii Reklewskiej-Braun, wyd. Norbertinum 2016 r, wyd. drugie.

Z dzieciństwa pamiętam mroczność pomieszczeń, pewien brak swiatła dziennego, ponieważ okna były niewielkie i mało wpuszczały z zewnątrz światła. Wieczorem i w nocy używało się wyłącznie lamp naftowych i świec. Elektryczności nie było jeszcze wtedy w Mirogonowicach. Przypominam sobie malarstwo ścienne, zwłaszcza pewną scenę na wodzie: wąskie łodzie, rybacy, wiosła, jakieś zabudowania w tle... Zdobne piece

kaflowe, które zimą przyciągały swym ciepłem. Jeden był niezwykły — okrągły… W saloniku cieszył widokiem ognia i żarem polan, kominek… Salon i salonik, oba z fortepianami — jeden z nich był biały, tak samo jak i meble wokół niego…. Lubiłam tę białość w odróżnieniu od mroku innych pomieszczeń, których się trochę jako dziecko bałam. „Pokój turecki" intrygował dzieci niezwykłością rekwizytów, jakie go wypełniały, ale dopiero znacznie później, czytając *Trylogię* Sienkiewicza potrafiłam znaleźć doń właściwy kontekst historyczny. Na jego ścianach wisiały „szale," to znaczy wielkie jak arrasy tkaniny — czerwone, przetykane czernią. Zresztą nie pozwalano nam zbyt często do „pokoju tureckiego" wchodzić.

Biblioteka zapełniona była książkami, niedostępnymi we wczesnym dzieciństwie dla mnie, bo nie umiałam jeszcze czytać. Część z nich powędrowała z nami do Ostrowca, gdzie wiele z tych książek służyło mnie i Zygmuntowi w latach szkolnych. W Mirogonowicach czytano nam bardzo dużo głośno, no i kazano się uczyć na pamięć. Pamiętam okładkę mojej ulubionej książki *Cztery bajdy ciotki Adelajdy* i początek wiersza, który kazano mi mówić przy większym zgromadzeniu gości:

> Na marchewki imieniny,
>
> Zeszły się wszystkie jarzyny.

> A marchewka gościom rada,
>
> Takie bajdy opowiada…

Biblioteka wydawała się duża oczom dziecka i bardziej niż inne pokoje ciemna. Za to kaplica, do której się szło przez bibliotekę, musiała mieć większe okna i wraz z nimi więcej światła. Pamiętam częste wizyty z Mamą za rękę, składane w tym miejscu domu. Podczas wojny mieszkał z nami stale Ojciec Innocenty Buba, pijar z Krakowa, późniejszy prowincjał Pijarów polskich. Jego obecność umożliwiała codzienną Mszę Świętą w naszej domowej kaplicy. Jak było przed tym – nie wiem. Ale przypominam sobie też niezwykle uroczystą wizytę biskupa sandomierskiego w czasie okupacji, który dokonywał rutynowych wizyt pastoralnych we wszystkich tego typu dworskich i pałacowych kaplicach.

Od wejścia do kaplicy przykuwał oko dużych rozmiarów krucyfiks, rzeźbiony w drzewie („lipowym” – dopowiedziała mi później Mama), z niezwykle wyrazistą figurą umęczonego Chrystusa, zwisającego bezwładnie w dół, ze spojrzeniem na Maryję stojącą u podnóża krzyża. Z drugiej strony Święty Jan Ewangelista. Insygnia Męki Pańskiej ramowały krzyż od dołu i po bokach. Barokowe anioły w rogach podtrzymywały wstęgi łacińskich napisów – chyba cytatów z Pisma Świętego.

Odjazd biskupa sandomierskiego Jana Kantego Lorka, który wizytowal kaplicę w mirogonowskim dworze, prawdopodobnie w 1943 r. .Autorka wspomnień w białym kołnierzyku na rękach niani, fot. arch. Zofii Reklewskiej-Braun.

Posiadał też dwór mirogonowski cały szereg innych pomieszczeń w rodzaju sypialń, kredensu, kuchni, śpiżarni, a chyba też coś w rodzaju pralni. Choć, naturalnie, nie było tam kanalizacji ani bieżącej wody.

Moja dziecinna pamięć nie umie odtworzyć planu całego dworu, jedynie pojedyncze pomieszczenia związane z określonymi wydarzeniami, które się utrwaliły we mnie mocniej niż inne.

Jedno jest dla mnie pewne, że nie był to żaden luksusowy pałac, pełen zbytku i wykwintnych, a mało praktycznych pomieszczeń. Odwrotnie, mam prawo przypuszczać, że był to bardzo zwykły, duży dom mieszkalny ludzi przyzwyczajonych do ciężkiej pracy, do wczesnego wstawania i wczesnego kładzenia się spać, ludzi związanych z ziemią i kochających całym sercem swą ziemię, i całą bogatą tradycją rodzinną. Obrazy, znaki i symbole artystyczne zdobiące ściany mirogonowskiego dworu przeniosły z wieku w wiek informację o systemie wartości duchowych i moralnych jakimi Reklewscy żyli. Nie różniły się one niczym od tego, czym w XVIII, XIX i XX wieku żył każdy uczciwy Polak: „Bóg, Honor i Ojczyzna!" A tej Ojczyzny dotykało się najbliżej i najpełniej we własnej, dobrze uprawionej ziemi.

Dwór mirogonowski uległ całkowitemu zniszczeniu po wojnie w okresie reżimu komunistycznego, kiedy to został zamieniony na siedzibę Państwowego Gospodarstwa Rolnego, w skrócie „PGR". Mimo wielokrotnych petycji ze strony różnych osób prywatnych i instytucji, państwo komunistyczne nie uczyniło nic, żeby uratować ten wysokiej klasy zabytek. Gdy zakładano skansen w Tokarni na Kielecczyźnie pojawił się pomysł, żeby nasz dwór przenieść do niego. Ale i na to już było za późno. Realne mogło być jedynie zbudowanie repliki dworu mojego dzieciństwa. Władze wojewódzkie obiecywały to wielokrotnie… Obecnie dwór jest odbudowany i mieszka tam mój brat Zygmunt Reklewski z rodziną.

Mirogonowice, stan obecny. Dwór został odbudowany przez brata Zofii Reklewskiej-Braun, Zygmunta Reklewskiego, profesora SGGW w Warszawie, który od dziesięciu lat mieszka tam z rodziną.

Ostatnia wojenna Wielkanoc

Ojciec Innocenty, pamiętam, zorganizował ostatnią wojenną Wielkanoc w Mirogonowicach. Wiadomo już było, że wojna idzie ku końcowi, że Niemcy muszą przegrać. Nikt jeszcze nie przewidywał tragicznego końca Powstania Warszawskiego, ani zagarnięcia całego kraju przez Sowiety. Dokonywała się

stopniowa koncentracja oddziałów partyzanckich. Zapewne było to przygotowanie do akcji „Burza”. Partyzanci świętokrzyscy także musieli już być w nią zaangażowani. Może zbierali się właśnie na tę wędrówkę ku stolicy, która miała stać się miejscem ostatecznej rozgrywki o Polskę prawdziwie wolną, zarówno od okupacji niemieckiej jak i sowieckiej? Przyszli do Mirogonowic świętować Święta Zmartwychwstania Pańskiego z nadzieją na najlepsze. Pamiętam te Święta.

Było już pięknie, wiosennie, ciepło. W ogrodzie, na trawniku pod starym jesionem, który Wuj Zbyszek Wasiutyński upamiętnił na Mamy ex-librisach, siedział na krzesełku Ojciec Innocenty i spowiadał. Długi szereg wychudzonych sylwetek czekał na tę okazję w wielkim skupieniu i ciszy. Nie wiem ilu i jak długo się spowiadało, ale zapewne trwało to godzinami. W tym czasie od przodu domu pojawił się Ksiądz Glibowski z Waśniowa święcić pokarmy. Długie stoły, przykryte lnianymi obrusami, pełne jakichś najprostszych produktów stały na klombie przed domem. Ksiądz Prałat szedł wzdłuż stołów z wielkim kropidłem w dłoni, z którego spadały na pokarmy i na nas rzęsiście błyszczące w słońcu krople. Święcone było nie tylko dla nas ale i dla pracowników dworskich i dla partyzantów.

A potem Msza Św. od strony ogrodu. Odprawiał Ojciec Innocenty. Ołtarz polowy ustawiony był na werandzie, a my wszyscy klęczeliśmy w trawie pod jesionem.

Klęczę i ja z moim rodzeństwem. Wszędzie dookoła nas partyzanci. Widzę przed sobą ich przetarte na wylot zelówki butów. Starte, spłowiałe koszule, prawdziwie wiatrem podszyte wiatrówki. Każda trochę inna, wiele „zdobycznych" na Niemcach. Jedność umundurowania stwarzają te właśnie dziury w zelówkach, wyblakłość tkanin i zużycie materii. Dzwonek, ministrant dzwoni na Podniesienie. Ksiądz podnosi Pana Jezusa nad głową. I cisza… Wielka nabrzmiała błaganiem cisza. Tylko ptaki w gałęziach drzew zwiastują wiosnę. Długo w skupieniu cały oddział przystępuje do Komunii Świętej na schodach ganku. Podchodzą czwórkami i klękają. Większość to bardzo młodzi chlopcy. Wielu nie ukrywa łez. Żaden nie wie czy dożyje jutra…

Można przypuszczać, że ginęli masowo w czasie akcji „Burza", idąc z pomocą Powstaniu Warszawskiemu.

Fragment książki wspomnieniowej Zofii Reklewskiej-Braun „Urodziłam się pomiędzy", wyd. Norbertinum, Lublin 2016 (drugie wydanie).